

Sami sobie

1968 // biegnij, mała, biegnij, reż. Remigiusz Brzyk, Teatr Nowy im. Kazimierza Dejmka w Łodzi

PIOTR OLKUSZ/ teatralny.pl

Może w publicznym radiu jeszcze to jest (nie wiem, nie słucham): audycje z cyklu „kartka z kalendarza”. Trudno o lepszy dowód, że wspomnianie historii nigdy nie jest niewinne, niż właśnie taka opowieść o przeszłości zrobiona w rocznicowych punktach: co wymienić, a co wyrzucić? A rok '68 to eksplozja na eksplozji. Gra w skojarzenia szybko staje się grą na ideowe deklaracje, co spektakl w Teatrze Nowym ukazuje z godną podziwu inteligencją i wrażliwością.

Bo co w zasadzie wydarzyło się tamtego roku? To pytanie w różnych wariantach pada na scenie wiele razy, prowokując licytację odpowiedzi. Paryski maj i warszawski marzec, zamachy na Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, czołgi na ulicach Pragi i Ofensywa Tet w Wietnamie, igrzyska w Meksyku i misja Apollo 8... Oriana Fallaci w swojej słynnej książce 1968. Od Wietnamu do Meksyku. Dziennik z przełomowego roku układa te i inne zdarzenia w poruszającą opowieść o narodzinach innego świata, z nowym rozumieniem buntu (nie trzeba się z niego tłumaczyć) i nową definicją wolności (sięga dalej, niż myśłano), a spektakl Remigiusza Brzyka tej tezy nie kwestionuje. Co nie znaczy, że jej w sposób twórczy nie interpretuje i nie weryfikuje w ogniu nowych kontekstów.

Bo przecież sama książka Fallaci, podobnie jak te „kartki z kalendarza” czy nawet stroniące od indoktrynacji podręczniki historii, zalegające dziś na przecenach w antykwariatach, wprowadzały jakąś hierarchię, której osią było szczególne zainteresowanie wielką historią. Nawet włoska dziennikarka, tak wytrwale stroniąca od prostych sądów i tak często kwestionująca kulturowe tabu, nie obroniła się przed presją opowiadania o świecie przez pryzmat „stref wrzenia”. Jako reporterka jechała w miejsca ważne. A jeśli trafiła do kilku miejsc, na które nie kierowano dotąd kamer wielkich stacji telewizyjnych, to szybko, dzięki samej jej obecności, awansowały one do informacyjnego mainstreamu. Tymczasem historia nie dzieje się tylko w miejscach obserwowanych – dzieje się także wśród tych, którzy pozornie jedynie obserwują. Którzy o wielkich wydarzeniach wiedzą, nierzadko nie ze swojego wyboru, niewiele. I u których historia nie dzieje się od wielkiej daty do wielkiej daty. Mikrohistorie? Niekiedy tak. Historie alternatywne? No właśnie niezupełnie.

W spektaklu Teatru Nowego, wzorem klasyki „przedstawień lokalnych”, fabuła musi zmieścić się na bardzo niedużej przestrzeni: w tym konkretnym wypadku, gdzieś między siedzibą teatru (w '68 roku była tu scena żydowska i scena Dejmka) a kamienicą na Próchniku, w której działały żydowskie organizacje kulturalne. Ile wydarzeń ze świata widać było z tego niewielkiego obszaru na Starym Polesiu? Niewiele? I tak, i nie. Bo przecież echa zdarzeń odległych nierzadko o tysiące kilometrów (czasem bliższych, bo warszawskich) docierały i tutaj, choć mocno przytłumione, a poza tym jakby nie oczekując, że będą tu się mogły od czegoś odbić i ze zdwojoną siłą powrócić tam, gdzie naprawdę wrzało. Przekleństwo prowincji polega zatem nie tyle na jej odcięciu od świata (bo o tym nie może być mowy), ale o całkowitym braku zainteresowania wielkich reakcją prowincji. W Berkeley, Paryżu a nawet w Warszawie protestowano także dla innych – to bardzo ułatwia protest. Między Więckowskiego a Próchnika życie tyczyło się dla siebie, choć nie było wolne od zewnętrznych decyzji.

I jeśli Remigiuszowi Brzykowi udaje się zrobić lokalny spektakl wolny od truizmów (bo, swoją drogą, czy ktoś jeszcze wierzy, że małe ojczyzny w teatrze nie są już tematem do cna zużytym?), to właśnie dlatego, że opowiedział o bardzo uniwersalnym mechanizmie, którego moc kształtuje – zajmującą bądź co bądź większą część świata – prowincję. To mechanizm jednokierunkowego przekazywania informacji: gdy mała społeczność absorbuje to, co poza nią, ale ze swoją afirmacją lub buntem zostaje sama sobie. Nie

przyjeżdża tu żadna Fallaci, by ten świat zmitologizować. Rodzące się tu odpowiedzi nie interesują tych, którzy stawiają pytania. Czy słusznie? Brzyk takiego pytania nie stawia, bo trudno się obrażać na rzeczywistość. Jest, jak jest.

Nierzadko zaś jest co najmniej barwnie. W Nowym zdarzenia scalają akordy gitar żydowskiego bigbitowego zespołu Śliwki. Istniał naprawdę, ale – przepraszam za uwagę z innego porządku – gdy pytałem łodzian, którzy w '68 roku mieli akurat tyle lat, by móc go usłyszeć, o to, czy go znali, to spotykałem się z bezradnym kiwaniem głowy. A przecież był: śpiewał sonet Szekspira (między Więckowskiego a Próchnika) i intrygował barwnym strojem (między Próchnika a Więckowskiego). Dla niektórych, jeśli nawet nie był ważniejszy niż Janis Joplin, to przecież w walce o uwagę wygrywał z donosami z uniwersyteckich kampusów Kalifornii, Paryża czy Warszawy. Czy dlatego, że ci tu nie interesowali się wielkim światem? To też nie tak... Może dlatego, że wówczas, gdy realny proces nie jest możliwy, imigracja wewnętrzna stawała się najwiarygodniejszym z buntów?

Mamy więc spektakl o kawałku Łodzi '68, ale wreszcie nie jest to opowieść o pracownikach tkalni Marchlewskiego i nieznanym krewnym Rubinsteina. Jest o codzienności ludzi, którzy tu żyli, tworząc swoje Paryże i Berkeleye najlepiej, jak umieli, może nawet nie zadając sobie pytania, czy kogokolwiek na świecie to zainteresuje. Warszawskie protesty o przywrócenie Dziadów? Wiedzano o nich, może nawet im kibicowano, ale czy komukolwiek ta kwesta spędzała sen z powiek? Nikomu.

Nie chodzi jednak o tworzenie wypracowania na temat świata dwóch prędkości: świata centrum i peryferii. Brzyk robi fascynującą analizę społeczeństwa, które zostawione sobie, musi samodzielnie zadbać o swoje przetrwanie. Robi to na wszelakie sposoby, najczęściej wymyślając coraz to nowe twarze eskapizmu w głąb siebie – muzyka Śliwek to tylko jedna z możliwości. Inni będą zgłębiać siebie, jeszcze inni postanowią narzucić sobie wojskowy dryl, choćby miał się on dziać w rytm wojskowych rozkazów. A jeszcze inni będą tańczyć, by zapomnieć. I popalać, by zapomnieć. I popijać... Gdy nie można wykrzyczeć gniewu, trzeba go przetrwać w inny sposób.

Przedstawienie w Teatrze Nowym ma rozmach i oddech. Porzuca psychologiczne ograniczenia, operuje scenicznymi typami i grą z widzem. Świetne wokalnie urzeka też scenicznymi rozwiązaniami i – rzadko się na to zwraca uwagę – pełnym dynamiki i wyobraźni światłem (Michał Jankowski). Piszę o tym choćby dlatego, że Nowy umiał lata temu, gdy Remigiusz Brzyk dopiero zdobywał reżyserskie szlify, wyznaczyć estetyczne wzorce innym scenom w Łodzi. A jeśli nie wyznaczyć, to chociaż umiał obnażyć ich techniczną siermiężność. Tu Michał Jankowski z Igą Słupską (scenografia) stworzyli przedstawienie nowoczesne, intrygujące, czyniące ze sceny wielką maszynę do grania.

A konstrukcja spektaklu? Ci, którzy są wrażliwi na narracje formalne, będą zawiedzeni, że spektakl nie kończy się wcześniej: gdy do dziadka, który już dawno temu wciągnął na maszt białą flagę w zmaganiach reżymem, przyjeżdżają marzący o komunistycznej idylli studenci z Ameryki. To zderzenie dwóch światów jest w spektaklu poruszające emocjonalnie, ale i ciekawe treściowo: nie zejdzie się z sobą ani góra z górą, ani człowiek z człowiekiem. Ale Remigiusz Brzyk, który zawsze pozostaje wierny obietnicy odpowiedzi na każde pytanie, kończy swój spektakl „kilka miesięcy” później, jakby czuł potrzebę podomykania wszystkich wątków treściowych, a to można zrobić wrywając kolejne kartki z kalendarza aż do sylwestra. Nic nie pozostaje w niedopowiedzeniu. Jedni za taką postawę reżyserską będą wdzięczni, bo jest ona dowodem profesjonalizmu, inni chcieliby trochę wariactwa. Niedopowiedzenie nie jest przecież pozbawione treści. Ale i te wątpliwości nie zmieniają faktu, że spektakl 1968 // biegnij, mała, biegnij to jedna z najciekawszych i najdojrzałych od lat propozycji Teatru Nowego. Nic, tylko oglądać. I słuchać Śliwek.